

UNIVERSITÄT
BYDGOSZCZ
1930

ISKIERKI

Bydgoskie

PISEMKO

MŁODZIEŻY

SZKOLNEJ

Nr 6

WYDANIE JUBILEUSZOWE

Rok 45/46





Na 600-lecie Bydgoszczy

nia 19 kwietnia 1946 r. przypada sześćsetna rocznica istnienia miasta Bydgoszczy. W tym dniu rozpoczynają się uroczystości jubileuszowego roku. Po raz pierwszy usłyszymy niedawno skomponowany hejnał miasta Bydgoszczy. Od tej pory każdego dnia trzykrotnie będą rozbrzmiewały jego dźwięki z wieżyczki kościoła Klarysek.

Jubileuszowe uroczystości 600-lecia Bydgoszczy będą trwały przez całą wiosnę i lato, aż do jesieni. Weźmie w nich udział cała Polska. Artystycznie opracowany przez bydgoskich malarzy afisz wszystkich w gościnę zaprasza.

Dużo różnych obowiązków spadnie nie tylko na nasze władze miejskie, ale także i na wszystkich obywateli, jako na gospodarzy, zapraszających na te uroczystości.

Kto kocha swoje miasto, ten zrobi wszystko, aby wyglądało pięknie i miło.

Prawie wszyscy już o tym pomyśleli, a niektórzy już coś zrobili. Kto się spóźnił do tej pory, ten teraz musi pośpieszyć, bo do wykonania zamierzeń trzeba dużo pracy, a czasu pozostało bardzo mało.

W ostatnich dniach już wróciły bydgoskie zegary na stare wieże kościołów. Będą przypominały, że czas to pieniądz, że czas — to skarb, lecz czas, który upłynął, to skarb stracony bezpowrotnie. Będą wydzwaniały godziny i kwadranse, zachęcając wszystkich, by szanowali cudze minuty i nie narażali się wzajemnie na niepowetowane straty.

Zachęca wszystkich do pośpiechu w ślad za dzielnymi kolejarzami bydgoskimi, którzy słusznie szczerzą się, że już pięćset parowozów i dziesięć tysięcy wagonów oddali do użytku społeczeństwa.

Zegary na wieżach kościelnych przypominają już, że dawno wybiła godzina zapisywania się wszystkich obywateli miasta Bydgoszczy na członków Miejskiego Komitetu Opieki nad Szkołami.

Przypominają, że 6000 biednych, niedożywionych dzieci szkolnych oczekuje na skromne porcyjki chleba. Dzwoniące zegary wieżowe liczą swym biciem wysiłek ofiarnych jednostek i firm bydgoskich, które dostarczyły szkołom półtora tysiąca ławek dla trzech tysięcy uczniów, a opieszalym mówią, że jeszcze drugie tyle potrzeba, by dziatwa i młodzież miała na czym siedzieć i uczyć się w szkole.

Zegary wciąż dzwonią. Robotnicy śpieszą się z uprzątaniami gruzów. Mosty nad Brdą dudnią pod kołami pojazdów. Syreny fabryczne ryczą. Dym z kominów kłębi się nad dachami. Rozpędzone koła maszyn wirują w zawrotnym pędzie, a robotnicy czarnymi rękami obcierają kroplisty pot z czoła. Bydgoszcz nabiera rozmachu.

Miejscy ogrodnicy obcinają zdziczałe przez czas wojny gałęzie drzew ulicznych. Ładnie wystrzyżone drzewa będą miały piękne, stożkowate korony.

Śliczne niegdyś nasze parki, tak brutalnie przez okupanta zniszczone, poryte i stratowane, teraz pracowita ręka naszego robotnika z wolna doprowadza do właściwego stanu. Z wiosną okryją się kobiercem świeżo zasianej, zielonej trawki i różnobarwnego kwiecica.

Na chodnikach i ścieżkach nie będzie już liści, kawałków papieru i innych odpadków. Wszystkie stare, wojenne śmiecie sprzątnie się, a świeżych kulturalni mieszkańcy miasta sami nie będą rzucali pod nogi.

Również nikomu więcej nie przyjdzie do głowy urządzenie zabaw na trawie w parku. Tak mogli robić tylko ludzie wychowani w lesie. Skracanie sobie drogi na przelaj przez park, przez zieleńce i trawniki niechaj też zostanie tylko w zwyczajach leśnych dzikusów.

Wszyscy prawdziwi bydgoszczanie, kochający swoje miasto, będą opiekunami zasianej trawki, zasadzonych kwiatków, krzewów i drzewek w parkach i ogródkach miejskich.

Nasze kochane, polskie dzieciaki, dobrze wychowane w domu przez swych rodziców i nauczone w polskiej szkole, same będą o tym pamiętały i innym dadzą dobry przykład.

Miasto zieleni i kwiatów, znane z porządku i czystości przed wojną, odzyska swoje dawne piękne oblicze. Zachowanie się bydgoskiej dziatwy na ulicach, w tramwajach, w parkach, na plażach i we wszystkich miejscach publicznych, tak chwalebne w czasach przedwojennych, będzie i obecnie godne miana ludzi kulturalnych, jak przystało na mieszkańców dużego miasta o pięknych tradycjach. Różne wybryki i psoty, wyrządzone okupantom przez rozfiglowanych chłopców, można było dawniej usprawiedliwić, ale teraz już nie mogą się one nigdy powtarzać, a wykroczenia przeciwko przepisom naszego własnego prawa muszą być karane.

Tysiące gości, przybywających do Bydgoszczy na urządzoną z okazji 600-lecia wielką wystawę z różnych dziedzin przemysłu, rzemiosła, rolnictwa, handlu, kupiectwa, oświaty, kultury i sztuki — wyniesie z naszego miasta jak najlepsze wrażenia.

Sześćsetletnia Bydgoszcz, przedstawiając społeczeństwu obraz swego rocznego dorobku we wszystkich zewnętrznych przejawach życia zbiorowego, w pierwszym rzędzie pokaże swe oblicze duchowe. Okaże swą zdolność odbudowywania wewnętrznej wartości samego człowieka.

Bydgoska młodzież szkolna pokaże żywy film najciekawszych obrazów przeszłości i życia współczesnego swojego miasta.

Kiedy uczestnicy bydgoskich uroczystości przeczytają zachowany tu oryginalny rękopis Roty — Marii Konopnickiej, to poczuciu ich dumy narodowej, zaklętej w nieśmiertelny hymn królewskiego szczeputa piastowego, będzie towarzyszyła na nowe stulecia coraz głębsza wiara w rosnącą siłę polskiego ducha, którego przejawy widać wyraźnie w czynach życia codziennego.

F. Łukasik



Kamienie mówią

O czymże szemrzesz, dumasz, Brdo,
płynąca wstęgą szeroką?
O czym śnią fale, co brzegi trą,
ujęte w ściany strome jak okop?

Brda:

Niejedną falą niesie wieść,
niejedną szepcze opowieść —
zwierza się mur, nuci swą pieśń
i odprawia cichą spowiedź.

Kamień młyński:

Pienila się woda w obrotach,
miarowo trząsał się, drgał młyn;
nieprzeliczone ziarenka złote
na męczny tarły się pył.

Nagły wybuch zrzucił mnie z osi
i odtąd zapadłem w sen.
Nikt nie próbował mnie podnosić,
bezużytecznie tu tkwię.

Fara:

Strzełicie wzbijam się nad miasto.
Wzrok ślizga się dachem wzwyz,
gdzie u szczytu wyrasta
nad przepaścią krzyż.

Wielbią już wieki kształtu piękno —
i gdy wróg zagładę niósł,
spieszyli ludzie tu przykłęknąć,
by nie zamieniał mnie w gruz.

Śpiechrze:

Czekamy białe w czarne pasy,
zwrócone ku szarej Brdzie,
aż zbóż wory do składnie naszych
poczną wnosić cały dzień —
z dalekich wiosek, ziemi czarnej
zawiną barki z płowym ziarnem.

Brda:

Slucham w zadumie, w wód szeleście
kamiennych, dziwnych opowieści,
nim na fali morzu je wyślę,
zwierzę się siostrze, modrej Wiśle.

Franciszek Grott.



Serce Bydgoszczy

— Jutro zwiedzimy „serce Bydgoszczy“ — powiedział wychowawca na ostatniej lekcji. Gdy uczniowie zorientowali się, że należało by się przecież zapytać, o jakie serce chodzi, nauczyciela już nie było. Więc różne przypuszczenia. Jedni twierdzili, że to pewnie magistrat. Inni — że rynek. A któraś z dziewcząt nawet orzekła, że to na pewno hala targowa. Wtedy chłopcy w śmiech.

— Hala targowa — to raczej żołądek miasta. Chyba, że ktoś ma serce w żołądku, bo ponoć i takie wypadki zdarzają się między ludźmi.

Ostatecznie nikt nie wiedział na pewno, gdzie jest to serce naszego miasta.

Następnego dnia czytano na pierwszej lekcji „Pana Tadeusza“. Jedno miejsce kazał nauczyciel powtórzyć całej klasie: „...z Częstochowy

Oddano wiele srebra na skarb narodowy
Dla Ojczyzny, dla Polski; sam Pan Bóg tak każe,
Skarbcem Ojczyzny zawsze są Jego ołtarze“.

Książkę zamknęto, a uczniowie zaczęli się wyrwać, że wiedzą, w jakim celu dawała kosztowności Częstochowa i kiedy.

— Ale nie wiecie, która świątynia bydgoska oddała na podobny cel wszystkie sprzęty złote, wszystko srebro, a nawet wota z ołtarzy?

W klasie zupełna cisza. Wszyscy oczekują wyjaśnienia.

— Kościołem, który zdobył się na ten czyn, oddając wszystkie kosztowności na powstanie Kościuszkowskie, była Fara. Właśnie idziemy do niej.

Jeden okrzyk: — Idziemy do Fary!

Wkrótce znaleźli się na cichej ulicy Farnej, jednej z najstarszych ulic miasta. Ulica jak inne, a przecież odmienna. Cechuje ją powaga — i nie dziwnego: wszak tędy od pół tysiąca lat deptały stopy polskie, niosąc najgłębsze myśli i najpiękniejsze uczucia, jakie człowiek z siebie wydobyć może. Tędy szło to, co w człowieku jest najlepsze.

A nie zawsze myśli te były wesołe, czasem nawet bardzo smutne. Bo jak w dziejach starego miasta, tak w dziejach samej Fary różnie bywało. Ale w złej, czy dobrej doli tu śpieszyły serca polskie, tu się jednoczyły w wspólny akord.

Z drzew wynurzyła się budowla świątyni, dziwnie prosta w swych liniach i dziwnie tą prostotą czarująca. Jak tego dokonali mistrzowie XV wieku — to już zostanie tajemnicą tych murów. Nie trudno odgadnąć, jakie znaczenie dla całości ma stromy i wysoki dach, który tej całości daje tyle lekkości. A już podziw musi budzić zachodni szczyt, bardzo ciekawie pomyślany, pełen łukowatych wnęk i filarów.

— Ja to muszę odrysować — szepece entuzjasta rysunków.

Wchodzą do wnętrza. Wita ich religijny nastrój półmroku. Wszyscy spowazniali i są onieśmieleni. Nikomu nie przechodzi na myśl, by śmiechem, czy gwarem macić ciszę tu panującą. Każdy czuje, że tutaj trzeba się zachować inaczej. Każdy czuje, że to dom Boży i z nikim innym rozmawiać tu nie przystoi. Tylko z Nim.

Czy to nie dziwne? Czy to nie dziwne, że te filary, te ostre łuki na sklepieniu, te wąskie okna powiązane razem jedną myślą, jednym stylem, potrafią tak działać na człowieka?

Ktoś z uczniów przypomina sobie, że styl ten nazywa się gotycki, powstał w średniowieczu, kiedy całe życie było przesiąknięte myślą religijną. Że w Polsce mamy prócz Fary w Bydgoszczy dużo pięknych kościołów w tym stylu, jak: kościół Mariacki w Krakowie, Mariacki w Toruniu...

— Mariacka w Bydgoszczy...

— Właściwie mógłby się nasz kościół tak nazywać. Właśnie odsłaniają nam w wielkim ołtarzu obraz M. B. Bydgoskiej. Namalował go jakiś artysta z cechu malarzy polskich w początkach XVI w. Warto się przyjrzeć, bo obraz, choć liczy tyle wieków, jest bardzo piękny i chlubnie świadczy o naszych malarzach złotego wieku.

Komuś podoba się ambona. I tu jest jakiś stary obraz. Co to za postać?

— To świątobliwy karmelita Stanisław Bydgoski, który w lasach pod Bydgoszczą został zamordowany przez Tatarów za Kazimierza Jagiellończyka.

Przez wąskie okna zabłysło słońce, więc tym silniej zarysowały się żebrowania na sklepieniu — a zwłaszcza polichromia artysty-malarza Henryka Jackowskiego. Gra barw, cieni, łuków i światła zlały się w jeden hymn pobożnego uniesienia.

Chłopcy wychodząc z kościoła nie byli pewni: czy tylko zwiedzali Farę Bydgoską, czy też brali udział w uroczystym nabożeństwie.

Wł. Dunarowski

BYDGOSZCZ OKOŁO
ROKU 1600



KOŚCIELECCY

Jest lato. Ranne opary już się uniosły w górę, a promienie słoneczne zwycięsko przebijają ich powłokę i obficie zalewają dolinę nadbrdziańską, w której leży miasto Bydgoszcz. Na dziedzińcu zamkowym przechadzają się dwaj panowie. Jeden z nich to starosta bydgoski Jan Kościelecki, drugi, ubrany w szaty duchowne, to jego starszy brat Andrzej, dziekan kapituły poznańskiej. Obydwaj rozmawiają żywo. Od czasu do czasu przystają i patrzą na miasto, ścielące się u ich stóp.

Dziekan od kilku dni bawi w gościnie u brata. Znał Bydgoszcz dawniej, bo się tu wychował. Lecz jest zdziwiony niebywałym rozkwitem miasta.

— Od mojego ostatniego u was pobytu dużo się tu zmieniło — mówi. — Domy drewniane prawie już znikły. Na ich miejscu powstały wysokie kamienice, pięknie ozdobione. Na ulicach spotyka się bogate pojazdy. Mieszczanie są dostatnio, nawet wykwintnie ubrani. Bogacą się widocznie bydgoszczanie.

— Alboż im się źle powodzi? — wtrąca starosta. — Patrz na te wozy, które zjechały się na sobotni targ.

To mówiąc, wskazał ręką na ulicę Długą, zapelnioną ludźmi i zaprzęgami koni i wołów.

— Większość tych ludzi — mówi dalej — przybywa z okolicznych wiosek. Lecz są i tacy, którzy zjeżdżają się z bogatych Kujaw i żyznej Krajny. Wszyscy oni przywożą zboże, len, konopie i płótno. Dzięki nim Bydgoszcz stała się ośrodkiem handlu zbożem. Nie ma podobno w Rzeczypospolitej miasta, gdzieby nagromadzono tyle zboża, co u nas. Kupey, splawiając je do Gdańska, bogacą się na handlu.

— Uważam — nadmienia dziekan — że i prawo odbywania targów stało się błogosławieństwem dla miasta.

— Oczywiście — odpowiada starosta. — Za króla Kazimierza Jagiellończyka na sejmie piotrkowskim w roku 1484 nadano miastu prawo odbywania targów sobotnich oraz jarmarków trzy razy do roku: 20 kwietnia na św. Agnieszkę, 1 września na św. Idziego i 11 listopada na św. Marcina. Widzisz ruch, jaki panuje około Ratusza na rynku? Już kupey ustawili kramy, ławy i stoiska. Wnet rozpoczyna sprzedawać swoje towary. Oj, wtedy ruszają się tam wszyscy, jak w mrowisku. Drugi targ odbywa się nad Brdą. Sprzedają tu ryby, śledzie i wina zagraniczne, przywiezione z Gdańska. Słychać mowy różne i niejeden kupiec, z cudzoziemska ubrany, skupia uwagę przechodniów. Gwar i wrzask tu panuje niesamowity, a wtóruje mu brzęk łańcuchów i zgrzyt żurawi, dźwigających ciężary i ładujących je na statki.

Panowie przerywają rozmowę i wehodzą do wnętrza zamku, gdyż oznajmiono im, że przybył gwardian z pobliskiego klasztoru bernardynów.

* * *

Wyżej wspomniany Jan był ostatnim z rodu Kościeleckich, którzy około 150 lat — od 1457 do 1600 — piastowali godność starostów bydgoskich. Ich urzędowanie to okres długoletniego pokoju i rozkwitu miasta, należącego do najbogatszych w północno-zachodniej części Rzeczypospolitej. Kościeleccy pochodzili z Kujaw. Jednak najczęściej przebywali na zamku bydgoskim, goszcząc niejednokrotnie posłów zagranicznych, książąt, nawet królów polskich. Po ich wymarciu poczęła powoli przygasać szczęśliwa gwiazda, przyswiecająca miastu za ich rządów.

Jan Kościelecki został pochowany w kościele Pobernardyńskim po prawej stronie głównego ołtarza.

Joanna Markowska

Karol Libelt

(Obrazki z życia wielkiego demokraty)

Było to przeszło sto lat temu — po powstaniu listopadowym. Na jednej z sal poznańskich gwarno. Przybyli najświetlejsi obywatele miasta, młodzież, goście z okolicy. Przy kasie tłok. Ludzie się śpieszą, by jeszcze dostać bilet. Może myślicie, że to przedstawienie teatralne ma się odbyć. A może gościnny występ jakiegoś wędrownego kuglarza. Nic podobnego! To przemawiać będzie Karol Libelt. Rozpoczyna pierwszy wykład o literaturze i sztukach pięknych. A będzie tych wykładów cały cykl.

Na sali witają się znajomi i takie słycać rozmowy:

— Co też nam Karolek powie? — mówi jakiś siwy pan. — Pamiętam go od dziecka. Toż to syn mojego szewca.

— A dzisiaj człowiek wykształcony. Doktor!

— Mówię panu, zacny i szlachetny człowiek. Pilny był bardzo. Studiował na uniwersytetach w Berlinie i w Paryżu. A kiedy się dowiedział o wybuchu powstania listopadowego w Warszawie, wrócił do Polski i jako ochotnik zaciągnął się do artylerii. Zaczął służbę jako zwykły szeregowiec, ale się w bitwach odznaczył, ma krzyż za waleczność i rangę porucznika.

— Mówią o nim, że stara się o posadę profesora w gimnazjum.

— Staral się, mój panie! Ale mu Niemcy posady dać nie chcą. Bo te, widzi pan, nie podoba im się, że był w powstaniu. Buntownik w ich oczach.

— A czytał pan jego ostatni artykuł w gazecie?

— A jakże! To świetne, co pisze, że to, panie drogi, chłop na ziemi polskiej nie ma już odrabiać pańszczyzny, że ma otrzymać ziemię na własność, że każdy rzemieślnik ma otrzymać warsztat narodowy, że to niby stany mają być zrównane.

Na mównicę wchodzi Libelt. Uciszyło się na sali. Mówi z takim zapalem, że zachwyt ogarnął słuchaczy.

* * *

Marzec 1846 roku. W Górczynie pod Poznaniem w chacie Palacza zbierają się chłopi. Skupieni nad ogarkiem świecy, słuchają, jak Palacz czyta im odezwę:

„Jest nas 20 milionów. Powstańmy razem, jak mąż jeden, a potęgi naszej żadna nie przemoże siła“.

To początek manifestu Rządu Narodowego, wzywający cały naród do powstania. Napisał go Libelt, członek tegoż rządu.

Chłopi słuchają w milezeniu. Potem taką prowadzą rozmowę:

— Trza wypędzić Niemców i Moskala. Ziemię dać chłopom i sprawiedliwą Polskę zbudować.

— W Krakowie zaczęli, ale im się nie udało.

— A u nas aresztowali Mierosławskiego i Libelta. Siedzą w cytadeli pod kluczem i — do diaska — mocno ich pilnują.

— Musimy ich odbić. Broń mamy przygotowaną.

— Poprowadzi nas Niegolewski, którego ojciec pod Napoleonem walczył i pod Samo-Sierrą hiszpańskie zdobywał armaty.

— Przyłączą się do nas rzemieślnicy z Poznania.

— Niegolewski ma swoich ludzi między strażnikami, którzy nam pomogą.

— Musimy odbić Libelta. On pomoże nam stworzyć nową Polskę, ludową, sprawiedliwą. Nie kto inny, tylko my chłopi i bracia rzemieślnicy tego dokonać musimy.

Ruszyli. Stoczyli walkę z Niemcami. Polala się krew ludu polskiego, ale Prusacy zwyciężyli. Aresztowali 700 ludzi, z czego 254 wywieźli do Berlina, do więzienia w dzielnicy Moabit.

* * *

Minęły dwa lata. Po obu stronach ulicy gromadzą się ludzie: mężczyźni w cylindrach, panie w powłóczystych sukniach, dziewczynki w białych sukienkach i z kwiatami, a między nimi chłopi w siermięgach. To Libelt ma wrócić z Berlina. Tymczasem ludzie sobie gwarzą:

— I co pan dobrodziej na to, że Libelta znów witamy?

— A wie pan, że krucho z nim było! Skazali go na śmierć, potem zmienili wyrok na 20 lat więzienia, a tu niespodzianie rewolucja w Berlinie i Libelta wypuścili.

— A żebyś pan wiedział z jakimi honorami! Konie wyprzęgli z powozu, którym jechał i zawieźli go pod sam pałac królewski. Zmusili króla, by pokłonił się więzionym Polakom.

— A bo też twardo trzymali się w więzieniu. Libelt stałe mawiał do towarzyszy: „Dochowanie tajemnicy jest moralną siłą“. I nikogo z towarzyszy nie zdradził.

— Zobaczysz, panie dobrodziej, teraz wielkie rzeczy dzieć się będą w naszym Poznaniu.

— Jeśli nie będzie wojny z carem rosyjskim, to powstanie przeciw Prusakom jak mur.

Powstanie wybuchło i po wielu bohaterskich walkach chłop polski zgnieciono zostało przez Prusaków.

* * *

Minęło znowu kilka lat. Libelt zaprzyjaźnił się z działaczem, lekarzem Karolem Marcinkowskim.

— Trzeba koniecznie oświecić synów chłopskich. Przelali krew za ojczyznę. Nie udało się dać im wolności. Musimy jednak zebrać pieniądze i dać im wykształcenie. Niech się kształca w szkołach, poprawią swój dobrobyt i wyrosną na prawych obywateli.

Tak się nawzajem przekonywali. Zbierali składki u najbogatszych obywateli i setkom synów chłopskich wypłacali stypendia, by mogli kształcić się w gimnazjach i na uniwersytetach.

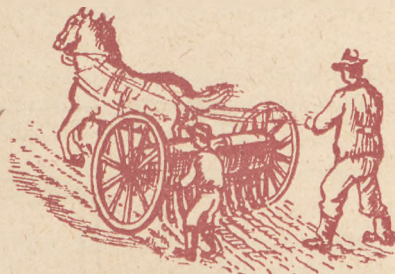
* * *

Rok 1863. Polną miedzą idzie starszy pan, przygarbiony, kijem się podpiera. To Karol Libelt, który właśnie otrzymał wiadomość, że syn jego poległ w powstaniu. Twarz jego skamieniała z bólu, ale nie ma na niej ani jednej łzy. Idzie zadumany, ukląkł wreszcie, a z ust taka płynie modlitwa:

— Boże! Ty wiesz, że przez całe życie pracowałem dla Polski, dla poprawy doli ludu. Nie szczędziłem ofiar. I syna dałem w ofierze. Zginął w walce o tę samą sprawę. O Boże, spraw, by ofiary nasze nie były daremne, spraw, by z ofiar naszych, i z tych, które jeszcze naród złoży, zrodziła się Polska sprawiedliwa, w której nie będzie pokrzywdzonych, w której wszyscy będą mieli równe prawa.

L. B.

Siew wiosenny



Daleko, jak okiem sięgnąć, urodzajna równina. Nie czaroziem. Ten rzadko spotykany na Krajnie. Gleba dobrej jakości, na której udają się zboża wszelkiego rodzaju, buraki cukrowe i koniczyna. Niedawno jeszcze śniegi pokrywały pola. Lecz wyrzało zza chmur wiosenne słońce, przegrzewało przez kilka dni i śniegi stopniały. Pozostały bielejące się tu i tam platy śnieżne. Wreszcie i te znikły. Szare oziminy zazieleniły się i podrosły. Potem słońko zapukało do okien gospodarzy i przypomniało im, że czas siał. Wyciągnęli pługi z ukrycia, wydobyli brony, przechowywane w stodole i dalejże na pole! Potem przystąpili do nawożenia gleby, orki, bronowania. I oto pole gotowe do obsiania.

W prześliczny poranek kwietniowy, kiedy słońce przygrzewa, niczym w lecie, dwaj sąsiedzi, Lewandowicz i Korbał przyjeżdżają na pole z siewnikiem. Dzień jakby wymarzony do pracy. Naokoło nich kobierzec zielono-brązowy pokrywa ziemię. Soczyste oziminy stanowią wdzięczny kontrast do świeżo zoranych i jakby grzebieniem przyglądzonych pól. Mężczyźni przez chwilę rozglądają się wokół. Prace wiosenne są w pełnym toku. Tam już sieją. Po lewej jakiś spóźniony oracz prowadzi pług. Opodal najlepszy ich sąsiad Wieczorkowski bronuje pole.

— Oj, Wieczorkowski! Co zrobiliby bez niego!

Lewandowicz i Korbał są rolnikami dopiero od roku. Przedtem byli robotnikami. Każdy z nich ma tylko jednego konia, a powinien mieć dwa. W okolicy brak koni. Zabrali je Niemcy, uciekając z tych ziem. Toteż gospodarze sprzęgają konie i pomagają sobie wzajemnie w pracy. Każdy z osobna nie dałby rady. Wypożyczają sobie także maszyny rolnicze. Z tymi czasem jest wielki kłopot. Nie znają ich dobrze i nie umieją się z nimi należycie obchodzić. Wtedy idą po radę do Wieczorkowskiego. To zasiedziały gospodarz. Zna na wylot wszystkie maszyny i zapoznaje z ich sposobem użycia. Radzi także, jak uprawiać glebę, jakie zboże siał na tym kawale, jakie rośliny okopowe na tamtym. Słuchają go chętnie i szczerze. Szanują go za to i poważają wielce.

— No, ale zacznijmy pracować! — zachęca Korbał.

Zakładają konie do siewnika i wsypują do niego zboże. Korbał ujmuje lejce.

— Dalej, Siwek! Hejże, Kary!

Konie ruszają. Lewandowicz pilnuje siewnika. Maszyna puszczonej w ruch w równych odstępach czasu wyrzuca ziarna do prościutkich rowków. Dojechali do końca pola. Wąski na szerokość maszyny pas już obsiany. Zawracają. Ileż to razy trzeba będzie zawracać, zanim obsięją całe pole! Zawracają drugi raz... dziesiąty... trzydziesty. Wtem nagle słyhać jakieś chroboty, zgrzyty. Maszyna zaczyna się psocić, brykać. Zacięła się. Mężczyźni zagląдают do skrzyni. Szukają przeszkody. Nie nie znajdują. Co robić?

— Wieczorkowski! — przemknęło im przez myśl. — Przecież on niedaleko. Pomoże.

— Hej, sąsiedzie! Chodźcie ino tu na chwilę! — woła Lewandowicz.

Wieczorkowski, przerwawszy bronowanie, nakładł na ręce kamieni, które nie wiadomo, skąd się wydobyły i szpecą pole. Składa je na miedzy i podchodzi ku siejącym, którzy w dalszym ciągu mozolą się nad wprowadzeniem w ruch maszyny. Bystrym okiem przygląda się mechanizmowi. Wnet dostrzega wadę. Kilka zręcznych chwytów i maszyna, posłuszna woli człowieka, znowu działa sprawnie.

— Bóg wam zapłać za pomoc! — wołają uszczęśliwieni.

Wieczorkowski przygląda się podziałce.

— Zbyt gęsto siejcie — powiada — rzadszy siew wydaje rośliny silniejsze, no i... zaoszczędzicie ziarna.

Nastawia siewnik tak, aby zboża mniej upływało. Potem odchodzi.

Siewcy podejmują pracę na nowo. Równym krokiem przemierzają pole z krańca na kraniec. Pas nie obsiany staje się coraz węższy. Jeszcze dwa razy tam i z powrotem, jeszcze raz i... konie!

— Niech rośnie na chwałę Bożą, a nam na pożytek — mówi Korbał. Wprzęga konie do wozu. Po południu Lewandowicz zbronuje pole, aby ptaki nie wybierały ziaren.

Przez kilkanaście dni nie nie widać. Nagle, jakby przez noc, pole z rzadka pokrywa się czerwono-brązowymi, ostrymi jak strzałki, pędami, które odrósłszy nieco od ziemi, zmieniają kolor na brązowo-zielony, a potem na jaskrawo-zielony. Wreszcie całe pole faluje młodą runią jarego zboża.

Joanna Markowska



Na drodze wolności

W wielkiej hali fabrycznej wrę gorączkowa praca. Robotnicy w osmolonych drelichach wykonują swoje ruchy w z góry ułożonym planie. Są zbrudzeni i zmęczeni. Po-

wietrze jest tu duszne. Uczepione na górnej ścianie małe wentylatory nie spełniają swojego zadania. Nad gorącymi maszynami unosi się swąd spalonych resztek oliwy i smarów, a z gumowni, gdzie fabrykują sztuczną gumę nadpływają gazy, żrące oczy, zatykające ostrą, duszącą wonią drogi oddechowe. Nie można przez dłuższy czas wytrzymać w hali, otwiera się wtedy mimo zakazu boczne bramy, aby pozwolić świeżemu powietrzu dotrzeć do sali napełnionej smrodliwym odorem. Rozmawiać można tylko krzykiem. Będące w pełnym biegu motory licznych maszyn i poruszanie się na szerokich, grubych szynach olbrzymiego kranu, przenoszącego z łatwością znaczne ciężary ponad głowami pracujących, wywołują bowiem wielki hałas. Z Marysiem Maciejewskim porozumiewać się mogłem w przerwach obiadowych, lub gdy na żelaznym wózku przywoził z pomocnikami kable do zbadania. Wyładowanie kabli nie mogło trwać zbyt długo. Niemiecki inżynier, kierujący pracą na polu doświadczalnym, gdzie poddawano nowe lub naprawione kable różnym badaniom, doskakiwał raz po raz do żelaznego wózka z krzykiem:

— Nie można tego prędzej rozładować?!

Mimo nieprzyjaznego do nas stosunku tego inżyniera, grożącego przy lada okazji gestapem lub wysyłką na tereny nawiedzane przez bombowce, łączność między nami istniała stale. Wymiana kilku zdań w tych czasach miała cenę bardzo wysoką. Chodziło przecież o wiadomości z frontu. Maryś, choć ukończył niedawno lat szesnaście, miał wiadomości zawsze nowe, pocieszające i co najlepsze — prawdziwe. Było to dziecko jeszcze, o bladej twarzy, czarnych, mądrych oczach i włosach czarnych i stanowczo za długich. Ta ezupryna gęsta i niesforna wchłaniała w siebie masę pyłu fabrycznego i swoistego zapachu. Raz zwierzył mi się, że w roku, w którym rozpętała się wojna, miał ucześnieć do gimnazjum. Egzamin zdał z łatwością. Teraz jest tylko wyrostkiem, popychanym przez majstra przy każdej okoliczności. Maryś jest zawzięty. Każde popchnięcie, każde uderzenie odczuwa głęboko. Popychają go zżęszta i jego niemieccy współtowarzysze pracy. Nie może im oddać tych kulaków w należytej mierze, bo wie, że kara, jaka by go za to spotkała, równałaby się z utratą i tak nadszarpniętego zdrowia. Zapamiętał sobie to wszystko dokładnie i obiecywał nie zapominać nigdy tych zniewag wyrządzonych jemu i narodowi.

Hala fabryczna tętniała równym rytmem wyężonej pracy. Wtem zabuczala syrena fabryczna: przerwa obiadowa. Wylączano szybko motory i wybiegano co prędzej poza teren fabryczny do drewnianego baraku, gdzie rozdawano cieką zupe. Nie korzystaliśmy z Marysiem z tej dobroczynności niemieckiej. Nie mogliśmy znieść widoku białych tabliczek z czarnym napisem na większości stolów: „Tylko dla Niemców“. Ciepłe, kwietniowe słońce zachęcało do wypoczynku na pustych bębnach kablowych, poustawianych na wolnym powietrzu.

— Marysiu, co nowego, dlaczego jesteś dzisiaj taki osowiały?

Podał mi swoją czarną, małą dłoń i usiadł obok. Nie podobał mi się. Był przygnębiony. Okazało się, że brat, który zmontował radioodbiornik w obozie pracy, został przychwycony na szreniu wiadomości niekorzystnych dla Niemców i przewieziony do Dachau.

— No i co teraz? Będiesz musiał uważać, ażebyś ty przynajmniej się mamie zachował.

Spojrzał na mnie wzrokiem karcącym, pełnym wymówek:

— Właśnie dlatego ja muszę objąć teraz jego rolę. Choć Niemcom powodzi się dobrze, nie można dopuścić, by Polacy pospuszczali głowy. Niemcy nie mogą wygrać. Trzeba im odebrać wiarę w ostateczne zwycięstwo.

Wypowiedział to prawie jednym tehem. Podziwiałem go. I ja podzielałem jego zdanie. W pewnej chwili zapytał o książkę z terenoznawstwa i książki o różnych broniach. Popatrzyliśmy sobie głęboko w oczy. Zrozumieliśmy się. Zabuczala syrena i rozeszliśmy się.

Od tego czasu Maryś urastał w mojej wyobraźni do roli bohatera. Domyśliłem się. Wstąpił na drogę, która wiodła do wolności.

Poczęliśmy udawać, że nas nie nie wiąże. Żądane książki przejął ode mnie sprytnie. Kilka dni po swym wyznaniu przyznał się z dumą, że przygotowuje się w tajnym nauczaniu do egzaminu do drugiej klasy gimnazjum. Wyczułem, że Maryś rozumiał, iż nie warto tracić czasu na rozmyślanie o ciężkich czasach. Trzeba coś pożytecznego robić.

Mijały tygodnie. Warunki w fabryce nie polepszały się. Całodzienny trud spadał jednak z pleców z chwilą opuszczenia zabudowań fabrycznych.

Przy końcu maja zdarzyło się, że zostałem zawezwany do biura obrachunkowego. Chodziło o sprawdzenie pewnych dat członków rodziny. Do pokoju wszedł cicho i nieśmiało, jak zwykle, Maciejewski. Kierownik biura udawał, że jest mocno zajęty i nie zauważył go. W pewnym momencie otworzyły się szeroko drzwi, wpadł jakiś barczysty cywil i rzucił pytanie:

— Ty jesteś Maciejewski? Chodź ze mną!

Podę mną zatrzęsły się nogi. Z trudem wydostałem się z biura. Gdy przechodziłem obok oddziału, w którym zajęty był Maryś, cywil wydobywał spod wyprutej podszewki marynarki plik ulotek. Los chłopca był przesądzony. Musiał wydawać się szczególnie niebezpiecznym, gdyż zaraz za bramą fabryczną nałożono mu na wątle ręce kajdanki.

Uwięzienie Marysia podziało na towarzyszy pracy jak uderzenie bomby. Więc takie chuchro, taki błąd młodzieniec był członkiem tajnej organizacji i nikt tego nie przeczuwał. Skąd brał tyle odwagi i mocy?

Niemcom nie udało się zniszczyć Marysia. Przetrwiał straszne czasy w Stutthofie. Zwycięskie wojska, kroczące od wschodu, ukazały mu upragnioną drogę wolności.

Franciszek Grott



Przedzimna baśń

Dawno temu w ciupli grubego drzewa żył karzelek. To drzewo było bardzo stare, liczyło sobie coś około tysiąca lat, ale karzelek był jeszcze starszy. I cały ten długi okres życia zeszedł mu na przemyślowaniu, co by zrobić, ażeby na świecie było jeszcze lepiej i ładniej, ażeby wszyscy ludzie byli zadowoleni, szczęśliwi i dobrzy.

Na tym dumaniu schodziły karzelkowi miesiące i lata.

Razu pewnego karzelek chodzi po lesie i medytuje. Wierzbowym liściem podwiązał sobie głowę, która chce pęknąć od ciągłego myślenia. Nie widzi zapłakanego ptaka, który rozpacza na złamane skrzydło, nie pozwalające mu odlecieć z braćmi do ciepłych krain. Nie stara się pocieszyć wiewiórki, która skacząc z jednego wierzchołka na drugi, zgubiła jedyny znaleziony tego dnia orzeszek. Karzelek przechodzi koło nich obojętnie, jakby nikogo nie widział. Idzie rozpromieniony, bo pewna szczęśliwa myśl zaczyna mu świtać w głowie.

Przystanął. Tak, już wie, co robi! Już wie. Ten świat wokół jest zbyt jednostajny, mało kolorowy. Wszędzie zielono, zielono... To przecież nudzić może. A kto się nudzi, nie może być szczęśliwy. Ale jest na to rada: przemaalować świat na inne kolory! Niech zapłonie tysiącami barw i płomieni! Niech się stanie jednym kwiatem.

Rażno zabiera się do pracy. Nie obawia się trudności, bo choć on jest bardzo mały, ale wolę ma ogromną. A przecież od woli każdy czyn zależy.

I karzelek cały jest pochłonięty pracą. Szuka barwnika, miesza, tworzy przedziwne farby, rozrabia, próbuje pędzla na trawce — i cieszy się, cieszy się ogromnie, że uszczęśliwi ludzi, ptactwo i zwierzęta, że ziemię w raj zamieni, w ogród kwitnący. Bo co listek na drzewie — to inny wzorzysty kwiat.

Już ma wszystko gotowe. Już wspina się na drzewo, rozkłada paletę, maluje. Już pierwszy listek gotowy! Cacko! Potem drugi i trzeci, setny i tysięczny. A co jeden to ładniejszy.

Na tej pracy zeszło mu kilka tygodni. Jeszcze tylko parę drzew — i koniec trudu. A tymczasem noc nadchodzi. Postanowił jednak skończyć, bo jutro święto, dużo ludzi będzie tędy przechodziło. Więc chociaż mrok zapada, karzelek macha pędzlem na wszystkie strony — listek nie listek, gałąź nie gałąź. Leje się farba po pniu, kapie z liści na bujne mechy, na wrzosa. Wreszcie koniec!

Teraz karzelek niecierpliwie oczekuje rana. Co to będzie, gdy świat zobaczy tę zmianę! Ile zachwytów. A ile pochwał spadnie na malutkiego, leśnego ludka. Czy jego serduszko wytrzyma tę radość?

Ale poranek jest uparty. Najspokojniej powiada, że mu się nigdzie nie śpieszy. Wszelkie prace pokończone, on też musi sobie odpocząć.

Karzelek tymczasem złości się i tupie nogą. Ranek, widząc to, umyślnie stanął i ani myśli ruszyć z miejsca. Dopiero, gdy słońko śmignęło go leciuchnym promykiem po płowej czuprynie, ruszył z miejsca.

— Dzień dobry! — powiedział drwiąco do karzelka, stojącego z mokrym pędzlem przed progiem swej leśnej chatynki.

Karzelek przeciera zamglone oczy i nie wierzy.

Nieszczęście!

Większość malowanych liści leży na ziemi. Na drzewach sterczą nagie gałęzie, okrutnie ogolone ze swej kraszy dnia wczorajszego. Nieszczęście!

Karzelek rzucił farby i zapłakał rześnistym deszczem. Potem wtulił się do dziupli, aby dalej opłakiwać swój daremny trud.

Tymczasem na leśnej ścieżynie zaroilo się od ludzi. Lecz nikt jakoś nie zwracał uwagi na las, ani na liście pod stopami z szelestem mrące. Gospodarze w skupieniu oglądali rosnącą pod lasem oziminę i chwalili jesień. A jeden wskazał na gęstwinę leśną i rzekł: — Tu raz błąkałem się całą noc.

Karzelek wtulił głowę w najciemniejszy kąt, aby nie słyszeć więcej ludzkiej mowy. A kiedy się już wyplakał, poszedł ze skargą do Matki Ziemi, mieszkającej w podziemnym pałacu. Dobra matka wysłuchała cierpliwie skarg, pokiwała dobrotliwie głową i kazała przyjść po wyrok za parę miesięcy.

Dla karzelka, liczącego już tysiąc lat, poczekać parę miesięcy — to tyle, co zmrużyć oko. Toteż w odpowiednim czasie stanął znów przed Matką Ziemią, pełen niepokoju i oczekiwania. W rogu sali stał Promyk i Poranek — jako oskarżeni.

Wyrok był taki:

Na świecie żaden trud zginąć nie może. Barwy, które w jesieni wsiąkły w ziemię, teraz Promyk z Porankiem muszą pozbierać i z powrotem nimi świat przyozdobić. Ale niech się śpieszą, bo wkrótce wielkie święto wiosny — święto Zmartwychwstania, więc wszystko na ten czas musi być gotowe. Karzełek zaś, za to, że przy tym wielkim czynie przeoczył drobne obowiązki, które nie są przez to mniej ważne — musi teraz uszczęśliwić nie świat cały, ale jedną ludzką istotę. Powiedziano.

Po polach, sadach i łąkach zaczęły się dziwy. Promyk szalał w ogromnym podnieceniu, latał, zaglądał w każdą szparkę ziemi, pod mchy, pod korzenie, nawet na dno strumyków. Ach, co to była za robota! Zgrzał się przy tym, poczerwieniał od potu, nabrał sił, toteż co dnia z większą energią zapędzał towarzysza do roboty. Co dnia prędzej, co dnia dłużej.

W końcu świat zamienił się w jeden wzorzysty dywan, pełen kwiatów, soczystej zieleni i złota słonecznego. Stokrocie, zawilec, mniszki, sasanki, fiołki, przylaszczki, a wyżej czeremcha osypana drobnym pyłkiem kwitnącej leszczyny. Nawet cierń tarniny, który nie znalazł jeszcze zieleni na liście, okrył się całą masą śnieżnych girland i tym przykrył nagość ostrych cierni.

No, teraz już może być święto wiosny. A gdzież to karzełek? Zniknął? Zapadł się pod ziemię? Nie, tylko on teraz po chatach najczęściej przepatruje, ludziom się przygląda. Właśnie dziwi go jedna dziewczynka, która rozrabia jakieś farby, jajka w nich zanurza, pędzelkiem pociera i pewnie nic z tego nie wychodzi, bo dziewczyna jest bardzo zachmurzona. Nawet skarży się do siebie, że jej się pisanki nie udały. Ach, żeby ją kto nauczył pięknych wzorów! Westchnęła tak żałośnie, że karzełkowe serduszek wzruszyło się do głębi. Potem jeszcze raz westchnęła, bo matka wezwała ją do płaczącego dziecka.

A kiedy wróciła do izby i spojrziała na kosz, wierzyć nie chciała. Co jedna pisanka — to ładniejsza. Prawdziwy cud!

I spojrziała po izbie tak radośnie, że karzełek, ukryty we wnętrzu starego pantofla, chwycił się za serce i przysłonił oczy.

Był szczęśliwy.

Wł. Dunarowski

Nagroda hodowcy

Ojciec Jurka Zielonki należy do „Związku Hodowców Drobiu i Zwierząt Futerkowych“. Jego specjalnością jest hodowla rasowych królików.

Na niedawno urządzonej wystawie otrzymał pierwszą nagrodę. Ale ta nagroda, mówiąc właściwie, należała się nie panu Kalasantemu Zielonce, tylko Jurkowi.

Żeby sąd konkursowy wiedział, czyja to jest zasługa, że te króliki tak pięknie wyglądają, to zaszczyt otrzymania nagrody spadłby na właściwego hodowcę. — Ale — myśli sobie Jurek — niech tam tata cieszy się nagrodą, ja cieszę się królikami.

Dopiero wstał z łóżka i już go nie ma. Długo jakoś nie wraca, a tu czas do szkoły.

— Jurek!... Jureczku, chodź prędzej na śniadanie, żebyś się nie spóźnił na lekcję. Słychać nawoływanie przez uchylone okienko z kuchni.

Za chwilę Jurek biegnie uradowany i krzyczy:

— Mamusiu, ale mam szczęście!... Błękitna wiedenka ma ośmioro młodych! Wszystkie żyją i są zdrowe. Mówiłem mamusi, że to będzie dobra samica. Takie gniazdo zrobiła im ze swego puszku, aż miło popatrzeć.

— Jedz, jedz i nie rozmawiaj!...

— Ale żebyś, mamusiu, zobaczyła, jak te młode szenszylki teraz ślicznie wyglądają! Jedzą już wszystko, co im dam, a futerka mają jak popielice. Tylko dla eleganckich dam na kołnierze, albo dla mamusi na całe futro. Do zimy będą takie, że lepszych nie potrzeba.

— Jedz, jedz, bo mało czasu!...

— A jakie śmieszne są te białe jak śnieg angorki! Wyglądają jak puchowe kule.

Mają taką długą wełnę, jak cała moja dłoń. A jaka miękka i delikatna! Jak jedwab! Na szalik i na czapkę dla mamusi — welenka jak złoto!

— No, no, już dosyć! Zjadaj resztę i czym prędzej zmykaj!

Jurek nawet nie spostrzegł, że jeszcze miał w ustach pół kromki chleba, a już był gotów do wyjścia. Zatrzymał się jednak na chwilę, jakby sobie coś przypomniał.



— Mamusiu, ale ten stary belgijczyk — to ciężki jak baran, ledwie go podniosłem. Przyda się na święta.

Uśmiechnął się znacząco, zadowolony, że z jego pracy cała rodzina będzie miała pożytek. Zwłaszcza teraz, kiedy o wszystkim tak strasznie trudno. To jest jego własna, prawdziwa nagroda. Szybko wybiegł na ulicę, bo czekało tam już kilku jego kolegów, z których każdy teraz chciał od niego kupić choć jedną parę młodych.

F. Łukasik



Ciepły wietrzyk

— Już kwiecień, a wiosna jeszcze śpi. Co to znaczy? Wiem! Wiem! — woła Halinka. — Kwiecień — plecień wciąż przeplata — trochę zimy, trochę lata.

— Prawda, prawda — mówią zgodnym chórem najbliższe przyjaciółki. Żywą rozmowę prowadziły dzieci o wiosnie, przy robocie w ogródku szkolnym, który chciały uporządkować jeszcze przed świętami. Jedne uzbrojone w łopaty i motyki, inne w grabie, stanęły do pracy. Józio trzyma już duży kłęb sznurka w rękach. Chciałby zaraz mierzyć, siać i sadzić.

Najstarszy z nich, Henio objął dowództwo i dyryguje pracą.

— Trzeba ziemię odwrócić i spulchnić. Trzeba przekopać kawałek po kawałku i powybierać wszystkie chwasty.

— Józiek, Franek, Ignas i was cała dziesiątka do kopania! Marsz!

— A my?

— Helenka, Honorka, Halina i cała druga dziesiątka do grabienia!

Henio chodzi, wszędzie dogląda, bo chce, aby praca wykonana była porządnie.

— Panie karbowy, panie starszy — padają dowcipne słówka.

— Czy dobrze grabimy?

— No, wy z grabieniem to tak się nie śpieszcie. Lepiej wybierajcie perz i inne korzonki. Ziemia jest mokra. Dobrze będzie, gdy ją ciepły wietrzyk trochę osuszy.

— Dobrze, dobrze, panie karbowy — zachichotały niefrasobliwie i zaraz zanuciły: „Mój wietrzyku miły, nie wiesz z całej siły...”

— O, bo ten wietrzyk wiosenny jest nadzwyczajny! Pamiętajcie, co pani o nim mówiła w klasie. Wiecie, kto roślinki budzi do nowego życia? To on. Ten ciepły, wiosenny wietrzyk. On pomaga rozwijać się pączkom pękającym. On namawia ptaszki, aby wróciły z ciepłych krajów. On każe kwitnąć pięknym sasankom i dzwoneczkom w lesie. On i tu w naszym ogródku...

— Wiemy, wiemy, panie agronomie... śmieją się znów kopacze. — Ale może resztę pracy jutro skończymy. Nas już ręce bołą.

Henio nie godzi się na to i zaraz wygłasza całe kazanie:

Nie odkładaj pracy na jutro, jeżeli możesz ją zrobić dziś. Jutro mamy inną pracę do wykonania.

Taki to czas, że musimy dużo pracować.

Kraj nasz biedny jest i wyniszczony. Musimy pilnie uczyć się i szczerze pracować, żebyśmy mieli więcej żywności. Dziewczynki jeszcze niech zgrabią patyki, gałązki i wyrzucone na ścieżkę chwasty. Chłopcy zbiorą kamienie i kawałki cegieł.

Uderza dzwonek.

Godzina pracy zajęć praktycznych w ogródku skończona.

Dzieci ustawiły się do odmarszu.

— Po pracy wracajmy wesolo z piosenką — mówi Henio.

— Tak! tak! — wołają dzieci — zaśpiewajmy!

Na podwórzu szkolnym zabrzmiała wesola piosenka. Po pracy maszerują wyprostowane i uśmiechnięte. Są zadowolone z siebie. Podobne do budzącej się wiosny i tego ciepłego wietrzyku, który swawolnie igra z ich czuprynkami.

Jan Ewiak

Grześ — społecznik

W klasie szóstej rojno jest, niezym w ulu. Chłopey, gestykulując zawzięcie, dyskutują żywo i głośno. Ten i ów zapisuje coś w notatniku...

Przed klasą wystąpił niepozorny chłopczyk — blady, poważny. To Grześ, prezes samorządu klasowego. Umilkły ożywione głosy, zachrobotwały krzesła. Cisza zaległa salę...

— Koledzy! — dziwnie donośnym i uroczystym głosem odezwał się Grześ. — Rozpoczynamy walne zebranie samorządu. Skończyło się półrocze szkolne, trzeba więc zrobić „rachunek sumienia“. Niech Włodek, kronikarz, uczyni to jako pierwszy.

Z ostatniego rzędu stołów podniósł się nieduży chłopczyk z dziwnie potarganą czupryną. Poprawiał ją z nawyku tylko, bo wiedział, że i tak jej nie uporządkuje, bo włosy „nie chcą leżeć“. Otworzył oprawioną księgę i basowym, bardzo spokojnym głosem odczytał zapiski. Potem dodał: — Zapisalem jedenaście kartek. Dzisiaj dopiszę jeszcze, że wrócił do nas Zenek po czteromiesięcznym pobyście na wsi.

Zarumieniły się policzki Włodka. Popatrzył na kolegów, na kronikę, odwrócił kilka kartek, jak gdyby pokazać chciał staranne pismo i... usiadł.

Grześ podziękował za sprawozdanie i poprosił Wojtka-skarbnika, ażeby przedstawił stan kasy. „Smukły blondynek“ wyliczał: — Od września do Gwiazdki po stronie dochodów mamy 883.50 zł, a po stronie wydatków 795.00 zł. Pieniądze otrzymałem ze sprzedaży makulatury i podręczników, a wydałem na świeczki i kwiaty do przystrojenia zaniedbanych grobów żołnierskich w Dzień Zaduszny, na zeszyty, „Iskierki“ i książki dla niezamożnych kolegów, oraz na zamek i klucz do szafy z naszej klasy. Stan naszej kasy wynosi 88.50 zł.

Z kolei wystąpił sprężystym krokiem Lolek — kapitan sportowy. Rozwinął zmiętą kartkę papieru, uśmiechnął się pod „wąsem“ i powiedział:

— Nasze kółko sportowe rozwija się bardzo dobrze. Drużyny: palantowa i „dwóch ogni“ zajęły pierwsze miejsca w szkole. Jesteśmy też niezwycciezeni w rozgrywkach z drużyną harcerską i w zawodach z klasami sąsiednich szkół.

Następne sprawozdanie składali: Stępick — bibliotekarz, Geniek — spółdzielca, Ludek — sekretarz, Banach — organizator uroczystości, Ryś — higienista, a jako ostatni Stefek z samopomocy uczniowskiej. — Do dnia wczorajszego — powiedział Stefek, nie wiadomo, dlaczego „Burezymucha“ zwany — zebrałiśmy w klasie 679 śniadań dla kolegów.

Teraz Grześ, prezes, pozwolił wypowiedzieć kolegom swoje uwagi o pracy kierowników. Zahuczało znowu, jak w ulu. Każdy miał coś do powiedzenia — chwalić pracę jednego lub ją zganić. Wreszcie Grześ położył kres wszystkiemu: „Samorząd nasz tworzy małą komórkę społeczną, w której przygotowujemy się do przyszłego życia w większej gromadzie społecznej. Trzeba sumiennie wypełniać swe obowiązki, a za przykład niech nam służy Kazik. On chyba najwięcej zdziałał. Kto zwiózł największą ilość makulatury? Kto postarał się o miednicę? Kto dba o to, by co tydzień wisiał w klasie czysty ręcznik? Kazik! Kazik! Kazik! A pomimo to, nigdy się nie pochwalił. On niech będzie dla nas przykładem. Dziękuję więc jemu jak i wszystkim tym, którzy pracowali dla dobra naszej klasy i szkoły, za włożony trud i znoj“.

A złote promienie słońca przesunęły się po płowych i ciemnych czuprynach chłopięcych, jak gdyby chciały olśnić ich umysły jasnymi myślami.

Henryk Stachowiak

Pierwszy wóz

Było to bardzo, bardzo dawno temu, kiedy nie było jeszcze ani miast, ani kolei żelaznej, ani szkoły. Kraj nasz pokryty był gęstymi lasami i tylko tu i tam nad rzekami i jeziorami rozrzucone były osady ludzi.

Mieszkali oni w chatach drewnianych bez komina. Polowali na dzikie zwierzęta lub łowili ryby w rzekach. Zaczęli też już siać niektóre zboża: pszenicę i jęczmień. Ziarna rozeierali między kamieniami i z grubej mąki piekli sobie placki w gorącym popiele lub warzyli polewkę.

Namozolił się nasz prapradziaduś niemało. To mu dziki porwały zasiewy, to znowu woda je zalała. Rzeki pełne ryb i lasy pełne zwierza dostarczały im głównie pożywienia.

Ile się namozolił, żeby upolowane zwierzę, wyłowione ryby, czy wymłócone zboże zanieść do domu. Wszystko przenosił na swoich barkach. A chociaż siłaczem był wielkim, nie zawsze sobie poradził. Bywało, że upolował dzikiego zwierza, odrąbał kawał uda i zaniósł do domu. A kiedy wrócił po resztę, zastał tylko kości. To wilki i rysie pożarły resztę.

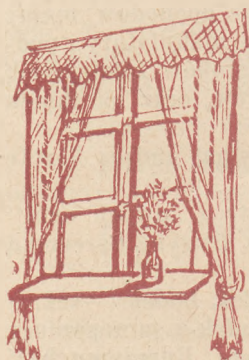
Martwił się nasz prapradziaduś bardzo, że cała jego praca poszła na marne. Mógł mieć mięsa na długo. Teraz było mu trzeba czatować, żeby znowu coś upolować. Zaczął myśleć, myśleć i wymyślił.

Wziął dwa okrągłaki, które mu pozostały po zrąbanych drzewach. Położył na nie kawał drewna. Łatwiej będzie przetoczyć upolowane zwierzę, gdy się je naładuje na drewno. Przy pomocy synów dał sobie jakoś radę. Mięso starczyło mu dłużej.

Ale i to nie było wygodne. Myślał, myślał i wymyślił sobie znowu coś nowego. Wyciął z grubego pnia drzewnego dwie okrągłe tarcze. W środku każdej tarczy zrobił otwór i połączył obie tarcze — niby koła drewnianą belką. Do tej belki przymocował kawał deski. Połączył to dyszlem. Namozolił się przy tym niemało. Ale cieszył się, że miał własny wózek, który ciągnął lub popychał. Teraz łatwiej było przewozić ciężary.

A synowie jego, którzy hodowali już zwierzęta domowe, wpadli na pomysł nowy. Do dyszła zaprzęgli konia. Teraz mogli już w dalszą zapuszczać się drogę. Mogli z większymi zdobyczami powracać do domu. A w tych wędrownkach ze swoim dwukolnym wozem spotkali się z innymi osadami ludzkimi. Grono sąsiadów się powiększało i jeden drugiemu służył radą i pomocą.

L. B.



Śmigusowe witki

Ciepłe, kwietniowe słońce przelewa się do izby złocistymi strumieniami światła. Jasne promienie obejmują świeżo bielone wapnem ściany, zaglądają do starannie wymiecionych kątów. Izba błyszczy czystością. Nie znajdziesz w żadnym zakamarku ani jednej pajęczyny. Za trzy dni skończy się Wielki Tydzień. Nadejdzie Wielkanoc. Boles i Czesia pomagali mamie dużo, ale myśli ich odlatywały gdzie indziej. Czesia każdą wolną chwilę zużywa na malowanie pisanek. Boles przygląda się jej tylko. Wybiega często na wieś. Wraca jednak wkrótce, podchodzi do blisko pieca ustawionej szafy i wpatruje się w ustawioną na niej dużą, litrową butelkę, z której wychylają się brzoszowe witki. Zauważa, że pąki nabrzmiały mocno, ale listków jeszcze nie widać.

Od czasu, jak z Wackiem i Rysiem wyprawił się do lasu brzoszowego po różgi śmigusowe, nie śpi dobrze. Myśli stale o swych witkach i doczekać się nie może, aż się zazielenią drobnymi i delikatnymi listeczkami.

— Pamiętaj, że witki muszą być zielone. Tylko wtedy cię zabierzemy — ostrzegają Wacek i Ryś.

Boles wie, że nie zartują. Wstyd byłby wielki pokazywać się na wsi z nierozwiniętymi gałązkami. Zresztą nie miałby prawa iść na śmigus. Chłopiec ma swoje zmartwienie, zwłaszcza, że Wackowe różgi się już zazieleniły. Zmienia więc często wodę, przybliża do pieca, a w dni słoneczne ustawia butelkę na oknie. Oczy błyszcżą mu, gdy rozmawia z kolegami o śmigusowej wyprawie. Boles ma po raz pierwszy wziąć w niej udział. Oj, co to będzie za uciecha!

W Wielką Sobotę kamienne schody i obejścia chaty wysypano żółtym, wilgotnym piaskiem. W pierwsze święto zaś uczyniono to samo w izbie i sieni. Kiedy odezwały się z wieży wiejskiego kościółka dzwony, Boles obudził się, przetarł ręką szybko oczy, spojrzął na witki w butelce i krzyknął:

— Moje brzoźki wypuściły listki, hura, hura!

Wyskoczył rażno z łóżka i cały dzień promieniał z radości.

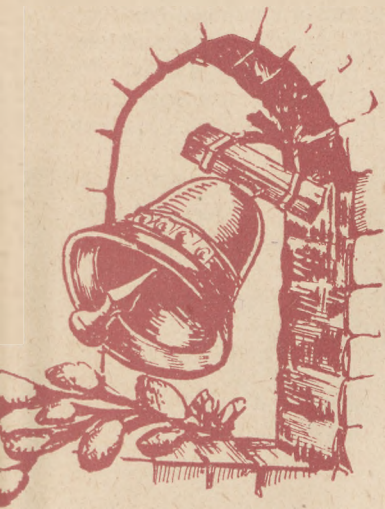
W świąteczny poniedziałek był już gotów do drogi, gdy Wacek i Ryś zjawili się w izbie. Uzbrojeni w pęki witek brzoszowych, z których spod brązowych skorupki pąków wylaniały się mięciutki i gładkie, jak aksamit listeczki, wyruszyli na wieś. Wchodzili do każdej chaty, gdzie były dziewczynki. Nie trudno było doskoczyć do nich i wysmagać im ręce i nogi. Matki dobrotnie uśmiechały się do młodych gości i po śmigusie wręczały każdemu po jednym jajku. Bolesiowi bardzo się ta zabawa podobała. Musiał przyznać, że dziewczynki nie bronily się mocno. Zresztą wołanie:

— Śmigus, śmigus — nakazywało poddać się tej nie bardzo bolesnej chłoście.

Słońce wzbilo się już wysoko na niebo, gdy Boles z załosnymi resztkami różeg brzoszowych wracał do domu. Nie wiadomo, czym więcej się cieszył, czy z udanego śmigusu, czy też z jajek, które wypychały wszystkie jego kieszenie.

F. G.

Rezurekcja



Hanka z Julkiem i mamusią śpieszą na dworzec. Wagony przepelnione. Nic dziwnego. Wielka Sobota. Każdy chce zdążyć na święta do domu. Hanka wcisnęła się do wagonu, a za nią Julek z mamusią. Dojechali do Nakła. Na dworcu nikt na nich nie czekał. Nie spodziewano się ich wcale. Muszą więc sami maszerować 3 kilometry. Dziesięcioletnią Hankę bolą nóżki, ale nie narzeka. Zасыpuje matkę pytaniami. — Mamusiu, czy już u cioci będą małe kaczątka? A powiedz mi, czy bocian znowu założył gniazdo nad stodołą? — Do cioci już niedaleko. Sama zobaczysz. — Rzeczywiście z zieleni drzew ukazały się białe ściany domu. Słychać ujadanie Cygana. Niespodziewani goście sprawili cioci Marysi wielką radość. Wybiegła Emilka i Michaś. Biały domek pełen jest wrzawy i śmiechu dziecięcego. Niestety, zabawy musiały się skończyć. Czas spać, bo jutro rano idą na rezurekceję. Trzeba wstać już o 5-tej rano.

Raniutko ciocia Maria budzi dzieci. Sama jest już gotowa. Wszysey się śpieszą, bo do kościółka jest kawał drogi. Wybierają drogę najkrótszą, przez las. Spod zielonych listeczków wychylają się główki przylaszczek i sasanek. Białe zawilce tworzą całe dywaniki kwietne. Ze wszystkich stron śpieszą ludzie: mężczyźni, kobiety, dzieci, a nawet starey. Na szosie w pobliżu kościółka stoją furmanki. Kościół wypełniony jest wiernymi. Rozpoczęło się nabożeństwo. W miejsce kolatek odezwały się dzwony. Biją długo, głośno, a echo ich pola niosą coraz dalej i dalej. Głoszą światu zmartwychwstanie. Radość napelnia serca. Przyroda raduje się z ludźmi. Słoneczko wysyła figlarne promyki, które muskają po twarzy wiernych. Ptaszki świergocą w powietrzu wysoko. Wieść radosną zmartwychwstania Pańskiego pod błekity niosą. Emilka z Hanką śpiewają głośno. Święto to kojarzy im się ze zmartwychwstaniem Polski. Jakże są szczęśliwe, że mogą po polsku śpiewać. Alleluja! Tłumy ludzi idą w procesji. Kołyszą się w rytm pieśni jak łan pszenicy. Woń kadzidla miesza się z wonią świeżej zieleni. Po skończonej rezurekcji witają się znajomi i składają życzenia. Ciocia Maria zabiera swoją gromadkę do domu. Wszysey śpieszą na uroczyste święcone. Apetyty mają doskonałe.

H. Jeszkowa.

Biblioteka klasy III

W klasie trzeciej zapanowała zupełna cisza. Uwaga dzieci skierowana jest na panią nauczycielkę rozwijającą dużą, szarą paczkę. Ciekawość jest wielka. — Co może paczka zawierać? Dlaczego pani tak się do nich uśmiecha? Nareszcie ostatnie opakowanie usunęła na bok.

Wyrwały się okrzyki. — Książki! Książki! Krysia nawet w rączki z radości klasnęła. Jest ich kilkanaście. Piękne, nowiuteńkie. Barwne okładki nęcą małych czytelników. Chciałyby już mieć je w ręku. Przynajmniej odczytać tytuły. Obrazki oglądać. — Dzieci, książeczki te są własnością waszą. Ofiarowało je wam Koło Rodzicielskie. — Możemy już założyć bibliotekę — przerywa Janka. — Naturalnie, że założymy, ale trzeba książeczki w papier oprawić. Zrobimy to na lekcjach prac ręcznych. Dzwonek przerwał rozmowę dzieci. Janka z Krysią biegną do sklepu po papier. Po skończonej przerwie dzieci zabrały się do pracy. Chłopcy w pierwszej ławce przycinają nożyczkami arkusze papieru. Druga ławka chłopców oprawia książki w papier. Trzecia nakleja na grzbietach białe kwadraciki papieru. Dziewczynki z czwartej ławki piszą numery kolejne na nalepkach. Podają Jance, która tytuły książek wpisuje do zeszytu. Na każdej książce umieszcza pieczęć szkolną. Gotowe książki odkłada. Pozostałe dziewczynki przepłatają zakładki do książek z resztek papieru. Danusia do każdej książki dodaje zakładkę.

Dzieci pracują cicho i sprawnie jak mrówki. Nad całością czuwa pani. Udziela wskazówek. W szafie przeznaczyła jedną półkę na książki. Tu uklada Danuta książki jedną obok drugiej grzbietem do góry. Dzieci postanowiły własne książki przynieść z domu, aby powiększyć bibliotekę. Jutro pani książki wypożyczy. Skończyły się prace szkolne. Cichutko jest w całym budynku szkolnym. Jedynie w bibliotece klasy trzeciej ożywiony ruch. Słychać podniesione głosy i płacz. To



książki nowe w swych „szarych fartuszkach“ buntują się. Ci „Kot w butach“ najczęściej miauczy. — Miau, miau. Przez „Sambo“ — murzynek dusi się w zamkniętej szafie. — Mdl szczęście, książka: „Historia kropelki wody“ machnęła swy wargi. Inne książeczki płaczą. Boją się dzieci, aby ich sukien narzekaly, aż sen je uspokoił.

Znowu rojno w klasie. Nowy dzień pracy. Z dniem dzisiejszym dzieci są członkami biblioteki klasowej. Stały w szeregu. Pani wypożycza książki, jedną na cały tydzień. — Krysiu, jaką dostałaś? — woła Janek. — Mam książeczkę pod tytułem: „Trzy świnki“. Patrz, jakie śliczne są obrazki.

— A ty, Jadziu, co masz? — „O sierotce Marysi“. Szczęśliwe dzieci przyeiskają książeczki do serduszek. Wiedzą one dobrze, że książka, to najlepszy przyjaciel.

H. Jeszkowa



Mir buduje szałas

— Ciap! Ciap! {Ciap! Kto tam ciapie w szuwarach?

To Mir. Człowiek epoki kamiennej. Jest prawie nagi. Szorstka skóra zwierzęca pokrywa jego biodra. Stoi po kolana w wodzie, krzemienym nożem tnąc trzcinę i sitowie. Trzcinę trzeba wnieść na pobliski pagórek. Sam nie poradzi.

— Ho! Ho! — woła na chlopea, który opodal rozkłada skórę niedźwiedzi na piasku.

San, 14-letni syn Mira, niechętnie odrywa się od swojej roboty. Leniwie idzie ku ojcu.

— Bierz! — rozkazuje ten krótko.

Obydwaj zabierają naręcza trzciny i sitowia i zanoszą na niedaleki pagórek, gdzie stoją trzy stożkowate szałas. Czwartą dopiero rozpoczęty. Mir jest zły częgoś. A i San niewesoły. Nic dziwnego. Obydwaj są myśliwymi i woleliby pójść na polowanie. Obecnie na kilka dni trzeba było przerwać to miłe zajęcie. Muszą zbudować szałas. Słupy, stanowiące szkielet szałas, przed kilku dniami już wbili w ziemię. Powiązali je poprzecznymi żerdziami. Teraz ściany między drzewem wypełniają sitowiem. Równiutko. Szczelnie, aby woda deszczowa nie przeciekała. Na dole zostawili otwór, aby można wejść do wnętrza. Ułożyli już dwie warstwy... Trzy...

Wiga, Mirowa niewiasta, wchodzi do szałas. Rozgląda się wokół i w myśli przeznacza miejsce na legowisko, sprzęt i ognisko. Za nią dwoje małych umorusanych nagusów gramoli się na czworakach i czepia mączynych skór.

— Jak tu będzie ciepło — mówi Wiga do mężczyzn. Myśli o ubiegłej zimie, która wszystkim dotkliwie dała się we znaki. Przypomina się jej tu i tam rozprowadana baśń o prapradziadach, którzy w jaskiniach szukali schronienia przed mroźnymi wiatrami.

— Że też oni nie pomarзли — dziwi się.

Mir i San ułożyli czwartą warstwę... piątą... Już pracują nad nakryciem szczytu. Pod wieczór szałas sklecony. Nareszcie. Oddychają z ulgą. Teraz będą mogli pójść na polowanie. Z jakąż zazdrością patrzeli wczoraj na sąsiadów, którzy z ubitym kozłem wrócili do domu. Jutro, zaraz z rana wyruszą w puszcę. Może i im uda się upolować jakąś grubszą zwierzyne.

J. M.